№ 9. Warszawa, dnia 20 Lutego (3 Marca) 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POEZYE
MARYI KONOPNICKIEJ.

Serya III.

Gorzką jest dola poetów w tym naszym, prozaicznym wieku!

Ideały ludzkości sposągowane przez tych snycerzy ducha, uczucia serca oprawione przez tych jubilerów słowa, nie mogą wytrzymać konkurencyi z ladajak, byleby ze złota wyrobioną, biżuteryą... sklepową.

„Wino wiosny i młodości", upaja i dziś wprawdzie jeszcze, małą garstkę entuzyastów, błąkających się po świecie, ale ogół społeczeństwa woli narkotyzować się alkoholem lub... bawarem nawet!

I słusznie... Nie karmi się on już chlebem ducha, po którym smakowałoby mu to szlachetne wino!

Wśród takich nieprzyjaznych warunków, należy się, nawet od najsurowszej krytyki, nietylko uznanie lecz i gorące współczucie, tym zubożałym wielkich bardów spadkobiercom, którzy na swoich nowożytnych lutniach grywają nam pieśni, przypominające owe potężne hymny jakie ich poprzednicy, przy dźwięku arf złotostrunnych, na bój za życia a na cześć i na sławę po śmierci, bohaterom śpiewali!

Wprawdzie, takich poetów którzy nam, chociażby echem tylko, przypominają wielką, „wielkiej" poezyi epokę, bardzo mało dziś mamy, lecz to właśnie jest jednym więcej powodem do traktowania ich z miłością.

Uwagi te przyszły nam na myśl po przeczytaniu trzeciej seryi poezyi Maryi Konopnickiej, zawartych w pokaźnej książce, nakładem Gebethnera i Wolffa wydanej.

Książka ta, to istny skarbiec pełen klejnotów i kwiatów, barw i... cieni, zebranych widocznie delikatną lecz i... kapryśną dłonią.

Mnóstwo tam pereł oprawnych w brylanty, stosy koronek pajęczej roboty... Za to, posągu wyrzeźbionego z jednej bryły marmuru, wśród tego skarbca nie ma!

Lecz... z tego pani Konopnickiej zarzutu robić nie można. Jest ona poetką z najnowszej epoki, z tej, która dziennikarstwem, jak młotem, rozbija artyzm w literaturze a w poezyi wielkie rozmiarem i duchem poematy rozdrabnia na oderwane fragmenta, kruszy na pyły!...

Zresztą, któżby tam dziś zdobył się na odwagę i chciał przeczytać cały poemat duży?

I w poezyi, tak samo jak w prozie, wolimy dziś felietonowe, ba! nawet reporterskie „artykuły", niż wielkie rozmiarem a jednolite myślą utwory.

I nie dziw! Wszak dziś, radzi skracamy sobie wszystko: parą dystanse, telegrafem korespondencye, nadużyciem... życie. Dlaczegóż więc i w literaturze nie mielibyśmy stosować takiegoż, abrewiacyjnego systemu?

Tem bardziej w poezyi, gdzie wielkość nie od rozmiarów zależy... gdzie przecież w jednej „Odzie do młodości" lub w jednym... „Grobie Agamemnona", wypowiedzieć można stokroć więcej niż w poematach tomowych.

Nakoniec, ta trzecia serya poezyi pani Konopnickiej tak samo, jak dwie poprzednie, składa się z utworów pisanych rożnocześnie i po większej części dawniej już drukowanych w szpaltach pism peryodycznych. Jest to więc, raczej zbiór fragmentów tworzonych oddzielnie, pod wpływem wrażeń rozmaitych, raczej sznur paciorek różnorodnej barwy, niż jednolity bicz korali oszlifowanych rylcem myśli jednej...

W każdym razie jednak, wszystkie te oddzielne, odmienne myślą i kolorytem fragmenta, mają jedną rzecz wspólną: wszystkie one wyszły z pod pióra poetki obdarzonej rzeczywistym talentem.

W istocie pani Konopnicka, acz odmienna zupełnie duchem a często i dążnością, jest, po Gabryeli, Deotymie i Ilnickiej, czwartą z kolei autorką, odznaczającą się w poezyi polskiej talentem wyższym.

Talent ten uwydatnia się nawet w swoich stronach ujemnych. Tak np. pani Konopnicka, choć nie posiada twórczości samoistnej, choć utworom jej brakuje często oryginalności, zarówno w duchu

jak w formie, pomimo to jednak, w każdym z nich prawie ujawnia i polot myśli wysoki i formę wiersza doprowadzoną, aż do najsubtelniejszych artystycznych kształtów.

A bywa tam czasem i siła uczucia dzielna, choć, niby poskramiana chłodną, filozoficzną refleksyą.

Autorka ta, jest zresztą rodzonem dzieckiem swojej epoki. Więcej w niej widać zwątpienia niż wiary, więcej niepokoju niż ufności, więcej żalu niż miłości i... nadziei.

Lecz, pani Konopnicka nietylko dzieckiem ale jest zarazem i poetką swojej epoki. Skrzydła natchnienia pozwalają jej unosić się nad nią, poglądać na nią z wysoka i dostrzegać w ogólnym jej ruchu wszystkie główniejsze prądy: i te które przynoszą z sobą balsamy rzeźwiące i te co zarazę rozwłóczą...

Taki pogląd szeroki wytwarza w myślach lub może tylko w utworach autorki, pewien rodzaj syntezy, która jest raczej harmonią artystyczną, wiążącą różnobrzmiące tony w jedną pieśń z ducha poczętą.

Zrobimy tu jeszcze uwagę, iż każdy kto czyta jednym ciągiem, tę trzecią seryę poezyi pani Konopnickiej, powinien pamiętać, iż czyta zbiór utworów pisanych różnocześnie. W przeciwnym razie, mógłby wyrządzić krzywdę utalentowanej autorce, podejrzeniem, iż pisała ona te, tak różne formą i pomysłem fragmenta, jakby dla popisywania się z szerokością horyzontów, po których pióro jej swobodnie przebiegać może.

Należy też uwzględnić jeszcze jeden, *quasi* ujemny rys w talencie pani Konopnickiej, choćby dlatego, iż rys ten spotykamy również w utworach wszystkich prawie nowoczesnych poetów polskich. Jest to, widoczne zresztą, bezwiedne lub i rozmyślne, naśladowanie w formie i w „tonie", któregoś z najznakomitszych mistrzów naszych lub i obcych nawet.

Zazwyczaj, poeci o których mówimy, obierają sobie za wzór, Juliusza Słowackiego, lub jeżeli tworzą ludowe pieśni czy obrazki, Teofila Lenartowicza. Z obcych, Heine dostępuje najczęściej tego zaszczytu.

Ale... i jakże się tu dziwić objawowi tak logicznemu zresztą?

Słowacki, ten kochanek poezyi i niezrównany rzeźbiarz słowa... w czterdziestu swoich potężnych poematach, które jak piramidy ducha, wśród literatury naszej dotąd niezachwiane stoją, podniósł tak wysoko „ton" myśli i mowy, a tak spotęgował i wyidealizował formę w której się wyraża, że dotąd jeszcze i w tej formie i w duchu, który jej ramy rozświeca i rozpiera, jest niedoścignionym ideałem, dla każdego umysłu zdolnego pojąć i ocenić aż taki artyzm ducha i pióra zarazem.

Wprawdzie i wielki autor „Beniowskiego", „Króla Ducha" i „Lilli-Wenedy", zapożyczał się także, w formie i pomysłach u Szekspira i Byrona a nawet, w pewnej epoce chwilowego obniżenia się duchem, u Kalderona także.

Lecz Słowacki był geniuszem a tacy wiedzą i czują, iż wolno im brać wszystko z natury czy ze sztuki, cokolwiek może im posłużyć za materyał wdzięczny, z którego ich duch własny wytwarza jeszcze świetniejsze i jakby nowe, bo promieniami jego przeniknione dzieła.

Twórcy Balladyny wolno było ze zmysłowej satyry, Tytanii, wyidealizować taką Goplanę, ulatującą za sznurem żórawi z krainy róż i malin... wolno mu było przenieść jedną kroplę z zakrwawionych rąk Lady Makbeth by rzucić ten szekspirowski rubin na blade swojej Balladyny czoło.

Powinien był nawet uczynić to koniecznie, bo w przeciwnym razie, zkądżeby się wziął ów najpiękniejszy w liryce całego świata, żywy wianek z jaskółek, co dotknięty promieniem słońca, ulatuje z czoła wychodzącej z jeziora Goplany?

Wprawdzie żaden z poetów naszych nowszej generacyi, począwszy od Asnyka aż do pani Konopnickiej, nie jest geniuszem. Czyż można jednak brać im za złe, że są, chcąc nie chcąc, uczniami ze szkoły takiego jak Słowacki mistrza?

Promienie jego ducha padają i na ich czoła, a z laurowego wieńca, który otacza skroń jego, sypią się i na ich głowy wiecznie zielone liście...

Trudno zresztą, rościć do poetów dzisiejszych pretensye o to, że żyją i piszą w takiej jak obecna epoce i że przez huk machin wyrabiających pancerniki, działa i lokomobile; że przez świst pary pędzącej wagony po szynach ze stali, nie może się przedrzeć ich śpiew i zapanować nad tym hukiem i świstem.

I to już dobrze, że istnieją jeszcze, że niezrażeni chłodem jaki na nich od społeczeństwa wieje, odzywają się ciągle, przypominając nam, iż prócz cielesnych są jeszcze duchowe rozkosze i pragnienia, które jak tkwiły zawsze tak tkwią obecnie i tkwić będą, niby gwiazdy, na szarym firmamencie powszedniego życia ludzkości.

W każdym razie, pani Konopnicka, jako poetka i myślicielka głębsza, a także jako artystka pióra, które w jej ręku staje się często „czarodziejską zdrojów mojżeszowych laską", wywalczyła już sobie zaszczytne w literaturze naszej stanowisko, a trzecia serya jej poezyi, którą mamy pod ręką, dowodzi, że nie cofnęła się z drogi i nie zniżyła dotąd swoich skrzydeł lotu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Aleksander Półkozic.

KOCHAŁEM.

Kochałem dziewczę — czarne miało oczy,
A w nich błyskawic kaskady;
Na białem licu, sen jutra uroczy,
Wybrylantował swe ślady.

Kochałem dziewczę — obrazek Madonny;
Świat w jej spojrzeniu i życie widziałem;
Ale już minął czas niepowrócony —
Gdzież dziewczę moje — gdzie skarb co kochałem?

A piękną była snów moich królowa —
Kwiat najpiękniejszy z bożych kwiatów wianka,
Piękną jak zorza letniego poranka,
Gdy zapłoniona przed słońcem się chowa.

Do dziś pamiętam ten bujny splot złoty,
Gdy polnem kwieciem obrzucała włosy;
Albo znów łzawe spojrzenie w niebiosy,
I twarz owianą bladą mgłą tęsknoty.

Wesoła, smętna naprzemian, jak dziecię —
Źrenic pożarem, żywem piersi tchnieniem,
Tak mnie, bywało, w swe uroki wplecie,
Tak oczaruje anielskiem wejrzeniem,
Że radbym patrząc w jej dziewiczą postać,
W lubym zachwycie na zawsze pozostać.

* * *

Wszystko pamiętam!
Dziecko jasnych marzeń,
Wierzyłem związkom zwanym: niezłamane;
Duszę namiętną i pragnącą wrażeń,
Ja za uczucie wziąłem nieprzebrane.

Marzyciel w pieśni — przymknąłem powieki,
Patrząc przez ułud tkań w niewieście serce,
Widziałem jeszcze żar, gdzie już w iskierce
Ostatniej, tlał sen przeszłości dalekiej.

Tak rok nie minął... ha, czas niepowrotny —
Znalazła karę wiara zaślepiona,
I znów zostałem tęskny i samotny.

. . . .

Gdzież mego życia anioł jest — gdzie ona?

Zygmunt Grabowski.

1865.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Endymion blednie. Przed oczami jego wyobraźni, zarysowuje się w jednej chwili z straszną dokładnością okropne zakończenie własnej, lekkomyślnej swawoli i czuje, że włosy podnoszone mocą przerażenia, powstają mu jak druty na głowie.

Dziewczynka jednym rzutem oka, obejmuje również rozmiary, otwierającego się przed nimi niebezpieczeństwa.

Przez decydywną jej główkę przebiega jak błyskawica zamiar wyskoczenia z wolantu, lecz porzuca go również prędko. Wyjeżdżona chłopskimi wózkami, pełna wyboi kręta drożyna, jest tak wązka, że koła powoziku ocierają się niemal o gęstą ścianę lasu i przy skoku w tak szalonym pędzie, niepodobnaby się ustrzedz od rozbicia o pień głowy.

Przed nimi istnieje jeszcze cień nadziei.

Dróżka po której pędzą, na kilkadziesiąt kroków przed jarem, zakręca się nagle w prawo, biegnąc dalej w las jego brzegiem. Nasuwa się słabe przypuszczenie, że rozhukane zwierzę, skręci instynktownie za jej kierunkiem.

Ale złudzenie to trwa tylko chwilę. Kary wraz z wszystkiemi zmysłami, stracił snać i ono bezwiedne przeczucie, ostrzegające o niebezpieczeństwie. Zbija się z drogi i biegnąc prosto, pędzi oślep na jar ciemny, straszny poszarpanemi, skalistemi bokami, pośród których, w dole gdzieś głęboko, niewidzialny strumień leśny, stacza się z szumem i pluskiem po kamienistym łożysku.

Endymion staje w wolanciku i ostatnim wysiłkiem probuje skręcić na bok konia.

Ale przestrzeń dzieląca ich od grozą tchnącego kresu jest już zamała.

Chwila jeszcze bezsilnej szarpaniny i są nad brzegiem.

Teraz dopiero kary spostrzega śmierć tuż przed sobą, wionącą ku nim wilgocią i chłodem z głębi przepaści. Próbuje się osadzić, rzuca w bok, ale na wszystko jest już zapóźno.

Pod obydwoma lewemi kołami powoziku zarywa się grunt w chwili skręcania i wolancik zwolna pochyla się w przepaść. Anglik usiłuje utrzymać się na górze, lecz podmyta wodą ziemia, obsypuje się kawałami z pod jego kopyt, podczas gdy ciężar ekwipażyku pociąga go na dół.

Endymion wyskakuje z powoziku, chwytając się gałęzi rosnącej tuż obok brzeziny.

Panna Anna siedząca od strony przepaści, niema gdzie wyskoczyć, czuje, że osuwa się w próżnię i przymyka oczy.

Nie spada przecież, bo nagle chwytają ją wpół z tyłu silne ramiona, unoszą w górę i stawiają na ziemi, pośród kolącej gęstwiny krzaków. Dziewczynka słyszy jak przez sen, ciężkie stęknięcie karego, potem trzask i drugie jęknięcie końskie, poczem przez czas pewien nie słyszy już nic, ani widzi.

Kiedy po chwili otwiera oczy, nic narazie nie może sobie przypomnieć. Widzi się niedaleko krawędzi, lecz na wewnętrznej już ścianie jaru, umieszczona wpółsiedząc, wśród krzaków cierni i głogów, wplątanych w sposób barbarzyński, w jej wykwintne grenadyny.

W górze po nad nią, na tle zieleni liści, ukazuje się śmiertelnie pobladła twarz zaglądającego w przepaść Endymiona, jej zaś własna, bezsilna główka, spoczywa na piersi kogoś niewidzialnego, podtrzymującego ją z tyłu silnem, lecz łagodnem objęciem.

Dziewczynka nie umie zdać sobie z tego wszystkiego sprawy. Jest strasznie słaba, zmęczona i przymyka na powrót oczy, chwytając oddech piersią, w której serce uderza zaledwie słabemi, nierównemi drgnięciami.

Gdy po raz drugi podnosi powieki, widzi tenże sam obraz w najdrobniejszych szczegółach, z maleńką różnicą, iż spostrzega teraz na swym staniku, podtrzymującą ją męzką rękę, z której twarda, gruba praca, nie zdołała zetrzeć jeszcze śladów niedawnego wypieszczenia. Dłoń ta kształtna, muskularna, ukazuje się jej oczom, w ornamencie piaskowego rękawa i dwóch złotych guzików zdobnych koroną dziewięciogałkową, wyrytą ponad artystycznie splątanym monogramem własnego jej ojca.

Posuwając spojrzenie wzdłuż rękawa, panna Anna spostrzega nad sobą piękną, energiczną twarz stangreta Jana i głębokie, szare oczy, wpatrzone w siebie z niewymowną tkliwością i niepokojem.

Jedno spojrzenie na tę poważną, charakterystycznemi liniami siły nacechowaną głowę, przywraca ją do przytomności w oka mgnieniu. Chwytając gałązek krzewów, uwalnia się z jego ramion, stając na nogi, które drżąc uginają się pod nią.

Teraz dopiero, spostrzega w głębi pod sobą, rzucającego się karosza, który zaczepiony wraz z powozikiem o konary karłowatego dęba, leży na pochyłości ściany jaru, miotając się, splątany w rzemienie uprzęży.

Widok ten oprzytomnia ją do reszty, wracając jasno pamięć katastrofy.

— Koń! koń! — woła z zwykłą żywością — Janie, ratuj konia! dobije się tam do reszty!

— Czy mogę odstąpić panią? Czy posiada jaśnie pani dość mocy, aby nie upaść? — pyta Jan łagodnie, patrząc na nią, jak na dziecko niemocne, potrzebujące opieki.

— Nic mi nie jest. Naturalnie, że mam dość mocy! Czy nie upadnę? Mój Boże, jakim też sposobem mogłabym to uczynić? Zaplątałam się tak w krzaki, że każdy kolec mnie trzyma, nie wyplączę się ztąd do jutra. Idź! idź! on jeszcze stoi! Idźże, mój Janie!

Na tak wyraźnie powtórzony rozkaz, Jan zbiega na dół, uśmiechając się mimowolnie. Przekonywa się istotnie, że dziewczynka odzyskała już nietylko siły lecz i zwykłą swą żywość i uspokojony co do całości jej osóbki, może zupełnie zająć się koniem.

Dotarłszy do powalonego zwierza, młody stajenny odcina oplątujące go rzemienie i odczepiwszy od powozika, stara się postawić na nogi. Po długich zachodach kary wstaje, drży, stęka, jest potłuczony strasznie, skrwawiony, ale nie ma nic złamanego, jak uspokaja z dołu stangret, obawy hrabianki. Ocalił go ów dąbczak kędzierzawy, który dostawszy się pomiędzy konia i pojazd, zatrzymał oboje na stoku pochyłości, zanim zdołali dolecieć dna przepaści. Za to z arcydzieła fantazyi hrabiego, pozostały tylko potrzaskane szczątki.

Sprawdziwszy to wszystko, Jan udaje się na poszukiwanie przystępnego jakiegoś miejsca, którémby można wyprowadzić okaleczone zwierzę z głębi jaru.

Panna Anna tymczasem, zajęta jest wyswobodzeniem z objęć leśnych swej osoby. Musimy wyznać z przykrością, że czyni to z niezbyt budującą cierpliwością. Nie mogąc wyplątać sukienki z kolczastej gęstwiny, obrywa ją poprostu kawałkami, śmiejąc się z początku, następnie nawpół z gniewem, gdyż robota jest nudna i trafia się ustawicznie, że odczepiwszy falbanę z jednej strony, zostaje z drugiej schwytaną zdradnie, przez ostrą jakąś gałązkę. W rezultacie energicznych tych wysiłków, masa leciutkich, powiewnych strzępków liliowej gazy, pozostaje na krzakach wśród zieleni, w towarzystwie kilku kruczych, lśniących promieni, wyszarpniętych bezlitośnie z rezolutnej główki i nie ręczymy, czy sylfy leśne zleciawszy się tu wieczorem, nie będą zapytywały zdumione, jaka to nieznana rusałka pozostawiła po sobie te ślady, przesiąkłe subtelną, heliotropową wonią.

Po pewnym czasie poszukiwań, Jan znajduje nareszcie stromą, przez zwierzynę wydeptaną ścieżynę, którą z niemałym trudem, wyprowadza karego z smutnych głębokości.

Panna Anna, teraz też dopiero opuszcza niewygodne stanowisko, drapiąc się w górę, gdzie oko w oko spotyka Endymiona, wyciągającego ku niej rękę. Ale dziewczynka nie przyjmuje tej pomocy. Czepiając się traw i korzeni, wydobywa się na zrąb jaru o własnych siłach.

— Dziękuję ci, Endymionie, lecz przekonałam się gruntownie, że ty nie umiesz mnie ratować! — wymawia wyniośle, stając na brzegu.

Piękny panicz, przerażony wypadkiem, stał dotąd nad widownią katastrofy onieśmielony, zawstydzony, bezradny. Widok przecież kuzynki, wychodzącej z rozpadliny cało i zdrowo, przywraca go odrazu do zwykłej równowagi, odpowiedź zaś wzgardliwa, wywołuje nagłą reakcyę, pobudzając do wybuchu szyderstwa.

— Umie cię za to ratować twój... zaczarowany królewicz! — rzuca przez zęby.

Zaczarowanym królewiczem zwą niekiedy w pałacu żartobliwie nowego stangreta, odkąd figlarna Aneczka nazwała go osobą dystyngowaną, twierdząc potem stanowczo, że posiada kwalifikacye umysłowe, nie ze wszystkiem zgodne z stajennym zawodem.

Przydomek ten zostaje wymówionym w tej chwili po raz pierwszy, z wyszukaną, zabijającą ironią.

Lecz dziewczynka nie ma czasu zastanawiać się nad akcentowaniem impertynencyi kuzynka, nie zważa nawet, że dochodzą one do uszu Jana. Całą jej główkę zajmuje w tej chwili rzecz, z której dotąd nie miała czasu zdać sobie sprawy...

To Jan ją uratował, on podchwycił ją w chwili upadku a ona nie pomyślała nawet o tem, ani spytała, jakim cudem jeszcze żyje!

Pod wrażeniem tego odkrycia, panna Anna jednym skokiem znajduje się przy boku stangreta, trzymającego spokojnie za uzdę znękanego anglika.

— To ty mnie ocaliłeś, ty Janie! — wybucha mieszaniną rozrzewnienia i uniesienia, chwytając jego ręce i ściskając je gorąco.

Słowa jej przerywa śmiech suchy, zły, syczący; Endymionowi postępek kuzynki wydaje się piramidalnie niedorzecznym. Szarpiąc nerwowo złotawego wąsa, śmieje się jak szatan, patrząc na entuzyazm dziewczynki, który mianuje w myśli egzaltowanym wybrykiem na spokój Jana, który bierze poprostu za głupotę baranią i na smutnie spoglądającego ku nich rumaka, który jego zdaniem, posiada niezawodnie najwięcej rozumu z całej tej trójki.

Na szczęście młody stajenny, zachowuje się bardzo taktownie. Stoi przed hrabianką z kapeluszem w ręku, wyprostowany, poważny, pełen uszanowania, tłomacząc jej spokojnie, prostemi słowy, że rzecz cała nie wartą jest nawet podziękowania. Wszystko stało się wypadkiem i skromna jego osoba, powracając tędy z listami od hrabiego stryja, zjawił się tutaj jak deus ex machina.

Wymówiwszy ostatnie wyrazy, Jan dałby dużo, by je mógł cofnąć. Zatrzymuje się, zająka, ale wszystko to już napróżno! W wielkich oczach dziewczynki, zapalają się psotne, figlarne błyski, usteczka drgają tłumionym śmiechem. Schwytała swego sługę, na nowej nieostrożności i sprawia jej to ogromną przyjemność.

Jan za to stara się ile można zagadać swą pomyłkę.

— Jadąc brzegiem jaru do domu, spostrzegłem karego jak wypadłszy z lasu, pędził z powozikiem prosto na beznnię. Nie trudno było przewidzieć co się stanie. Rzuciłem mego konia i udało mi się stanąć na miejscu w porę — mówi prędko usiłując nie stracić dobrej miny.

Panna Anna pojmuje ambaras biednego chłopca i postanawia dopomódz mu wspaniałomyślnie. Ściska raz jeszcze dłoń jego serdecznie, poczem odwraca się do rannego konia.

Następuje chwila ogólnej narady, co czynić wypada dalej? Zachodzi poważna obawa, czy okulałe, zbite zwierzę, zdoła dowlec się do stajni, i czy nie wypadnie raczej przysłać po niego koni z wozem.

Endymion rozstrzyga kwestyę jak najprościej.

— Jan pozostanie tu z koniem a my oboje pójdziemy do domu piechotą i przyślemy mu pomoc.— Wyrzekłszy to, podaje kuzynce ramię.

Dziewczynka przecież odsuwa się od niego poważna i chłodna.

— Nie pójdę z tobą — odpowiada stanowczo.— Siądź na konia Jana i jedź do wsi. Poczekam tu aż przyślecie mi powóz.

Złotowłosemu Apollinowi nie podoba się ten projekt.

— Więc zostaniemy oboje, a wyślemy Jana. Siadaj na koń kochanku i ruszaj żwawo! — rozkazuje krótko.

Jan bez słowa odpowiedzi rzuca cugle na szyję anglika, zabierając się do odwiązania od drzewa swego własnego, stojącego tam siwka.

Ale młoda jego pani zatrzymuje go na miejscu.

— Nie! nie! — woła żywo — nie odjeżdżaj, Janie! Nie pozostanę tu bez ciebie ani chwili!

Endymion czerwienieje.

— Zwracam twą uwagę, piękna kuzynko, że tracisz zupełnie szacunek dla własnej osoby — cedzi zwolna półgłosem przez zęby. — Obierasz sobie za rycerza, to uliberyowane bydlę, którego miejsce jest za drzwiami, nie przy twym boku.

Purpurowy rumieniec oblewa twarz dziewczyny, brwi ściągają się groźnie, oczy ciskają błyskawice gniewu.

Nie chodziło jej wcale o to, że Jan dowiedział się już przed chwilą, iż zwie go ona: królewiczem zaklętym! Nie obchodzą ją szyderstwa Endymiona, lecz myśl, że ostatnia ta obelga doszła do uszu stangreta, doprowadza ją do rozpaczy.

— Rycerzem dla mnie, jest ten zawsze, w kim rycerskie znajduję przymioty — odpowiada bez chwili namysłu. — Ciebie zaś... ciebie... nie chciałabym mieć nawet mym stangretem — dodaje szydersko, zakończając rzecz minką dziecięcego zadowolenia, z wymierzonej winnemu kary.

Stoi przed złośliwym paniczem w poszarpanej sukience, z lasem kruczych włosów rozrzuconym po plecach i ramionach, pełnym traw, liści i przeróżnego ziela, zarumieniona z gniewu, paląc go płomieniem gorejących oczu, z rozdętemi nozdrzami i drgającemi usty, a stojący nieopodal, niewzruszony pozornie, jak granitowy złom, młody stajenny, myśli sobie: że ona to raczej podobną jest w tej chwili do fantastycznej królewny z czarodziejskiej bajki.

Co myśli Endymion, nie wiadomo. Popatrzywszy w zionące żarem, przepaściste oczy dziewczynki, odwraca się nie rzekłszy słowa, odwiązuje od drzewa siwego kozaka i dosiadłszy go w milczeniu, odjeżdża zwolna w głąb lasu.

Panna Anna z Janem, pozostają sami.

Dokoła nich szumi zlekka knieja, prócz tego, otacza ich wielka, głęboka cisza.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

DWA ODCZYTY PUBLICZNE

D-ra ALEKSANDRA FABIANA

O HYPNOTYZMIE.

Szanowny prelegent, przyznać należy, że wybrał przedmiot niezmiernie ciekawy, który jakkolwiek znany w starożytności, dziś wyłoniwszy się dopiero z tajemniczych osłon przyrody, wszedł w szranki naukowej pracy i uległ ścisłemu badaniu przez grona uczonych jedynie w tym celu związanych w towarzystwa, w Londynie, Paryżu i Niemczech.

Prelegent jako lekarz zabierając głos w tym przedmiocie, obrał za punkt wyjścia obserwacye nad nerwami w stanie zdrowia i choroby.

Pierwszy jego wykład był niejako dopiero wstępem do obranego przedmiotu, określeniem prawa działania czynników wewnętrznych organizmu, których zwichnięcie prowadzi do obłąkania trwałego, lub też przemijającego. Najgłówniejszym ustępem wykładu, było objaśnienie rozdzielania się świadomości ludzkiej na części składowe i wskazanie możności sztucznego jej podziału przez wycięcie lub osłabienie pewnych części mózgu. W takich wypadkach powstaje zamęt w działaniu lub zupełny upadek myślenia, pozbawienie woli, zapomnienie pewnych wyrazów i nadawanie innego znaczenia widzianym przedmiotom lub usłyszanym słowom. Podobne symptomaty sprowadzają niektóre trucizny, działające na pewne tylko części systematu nerwowego, jak morfina, chloroform, kurara i inne podobne. W przemówieniu tem pierwszem Prelegent wystąpił jako nieprzyjaciel nadprzyrodzonych zjawisk i szarlataneryi. Wszystko co zdaje się niepojętem, dziś badacze naukowi odrzucając dochodzenie przyczyn, ścieśniając granice swych dociekań, wykazują rzeczywistością, która może nie zawierać całej prawdy, ale zawsze wykaże jej związek z prawami stałemi i powszechnie znanemi.

W drugim odczycie doktor Fabian starał się słuchaczy wyprowadzić z błędu, jakoby ludzie ulegający hypnotyzmowi, byli jakąś nadzwyczajnością. Przeciwnie, każdy człowiek z wyjątkiem tylko zbyt żywych i roztrzepanych, może być zahypnotyzowany jeżeli nie odrazu to po kilku próbach z pewnością. Czynność też hypnotyzowania, nie zależy od jakiegoś wymarzonego fluidu magnetycznego, lecz od jednostajności działania hypnotyzera i od skupiania na to całej uwagi hypnotyzowanej osoby.

Pod działaniem w takich warunkach, sen hypnotyczny z łatwością przychodzi a z nim utrata woli i poddanie się rozkazom hypnotyzera.

Zmiany jakie się zjawiają podczas hypnozy, w oddychaniu, krążeniu krwi, temperaturze ciała, w funkcyach zmysłowych i w ruchach, pomimo licznych badań nie zostały dotąd ściśle rozpoznane. Trudność ich oznaczenia powstaje z przyczyny niemożności przeprowadzenia wiwisekcyi i trudności oddzielenia zjawisk patologicznych od fizyologicznych. Przyczynia się także do tego jeszcze wzgląd na możliwość szkodzenia zdrowiu, osoby zbyt często hypnotyzowaniu ulegającej. Z tego też powodu, hypnotyzm uważany jest przez niektórych za chorobę nerwową.

Zmiany w czynnościach podczas snu hypnotycznego niemal we wszystkich organach, a mianowicie w układzie nerwowym, są już dokładnie wiadome. Zahypnotyzowany wykonywa wszystkie nakazywane sobie ruchy bez najmniejszego wahania, czego główną przyczyną jest zupełny brak woli.

W dalszym ciągu Prelegent rozpatrzył zboczenia we wrażliwości zmysłów podczas snu hypnotycznego, jak węchu, wzroku, smaku i t. d., wykazał stosunek hypnozy do innych objawów fizyologicznych i patologicznych, opisał własne przypuszczenie objaśniające powstanie hypnozy, w końcu wreszcie przyszedł do oznaczenia hypnotyzmu pod względem społecznym, pedagogicznym i leczniczym.

Według zdania Prelegenta, hypnotyzm w celach leczniczych, może pozyskać uznanie tylko w takim razie, gdy badania kliniczne będą przeprowadzone ściśle i dokładnie przez specyalistów dokładnie z przedmiotem tym obeznanych.

Co do stosunku hypnotyzmu do kodeksu karnego, Prelegent zwrócił uwagę, że hypnotyzowani nie odrazu ulegają niegodziwym podszeptom hypnotyzera i niejako bronią się od ich spełnienia. Nadużycia więc mogą się zdarzać, ale wątpić nieależy, że przy dalszem zajmowaniu się hypnotyzmem, można będzie dokładnie określić podobnego rodzaju ludziom zadawane gwałty i właściwych winowajców pociągać do odpowiedzialności.

S. J.

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

Był to dzień czerwcowy.

W powietrzu rozlegał się głos świerszczów, motyle bujały po nad dojrzałemi zbożami, których ciężkie kłosy pochylały się i padały na ziemię podcięte kosą żniwiarzy.

Don Gesualdo, młody wikaryusz, przysłany z San Bartolo do wioski Marca, stojąc przy małem okienku w zakrystyi, spoglądał zamyślony na wzgórza, które przeglądały z po za gałęzi drzew wiśniowych gęsto obsypanych dojrzewającym owocem.

Dziś właśnie rozpoczęto żniwo. Mężczyzni i kobiety pracowali ochoczo na polach, na których gdzieniegdzie znajdowały się winnice i morwowe drzewa. Błękitne, bez najmniejszej chmurki niebo, zdawało się uśmiechać do nich, a głosy ich i wesołe nawoływania złagodzone odległością dochodziły aż do uszu księdza.

Słuchając odgłosu tej wrzawy i życia, don Gesualdo westchnął; gdyby go kto jednak zapytał o powód tego westchnienia, nie umiałby z pewnością na to odpowiedzieć; w tym cichym zakątku czuł się zupełnie szczęśliwym i niczego więcej od świata nie żądał.

Don Gesualdo był to blady i szczupły młodzieniec, prawie młodzieniaszek o delikatnych rysach twarzy i wielkich, ciemnych oczach, w których malowała się powaga i serdeczność zarazem. Był on synem rybaka z Bocca-d'Arno, miejscowości gdzie rzeka wpada do morza w pośród trzcin i kaktusów, które Costa tak lubi malować. Pomimo tak nizkiego pochodzenia w żyłach jego płynęła może krew Etrusków lub Latynów. I nie byłoby to nic dziwnego, nieraz bowiem pomiędzy wieśniakami z Maremmy napotyka się typy klassycznej piękności i posągowych kształtów.

Biedny! nie przeczuwał wcale, że miał to być ostatni jego dzień spokojny w Marca.

Z żalem odstąpił od okna, gdy stara kobiecina, która mu gospodarowała i zamiatała kościół, oznajmiła, że wieczerza na stole. Mógł przecie jadać o jakiej chciał godzinie, lecz było to ogólnie przyjętym zwyczajem w Marca, wieczerzać o dwu-

dziestej trzeciej godzinie a we wszystkich wioskach włoskich zwyczaj panuje wszechwładnie.

Zawsze czyniono w ten sposób, była to formuła, która usprawiedliwiała i uświęcała wszystko. Don Gesualdo nie ośmieliłby się także przekroczyć jej granic. Najczęściej o zachodzie słońca nie miał jeszcze apetytu i przykro mu było, iż był zmuszony spożywać rosół i chleb czarny w chwili, gdy natura przedstawiała się najpiękniej a niebo wspaniałemi blaskami żegnało niewdzięczną ziemię.

Zawsze jednak posłusznym był na wezwanie Candidy. Zmienić godzinę wieczerzy wydałoby mu się nietylko niemożebnem ale rzeczą bezbożną i przewrotną.

Candida była to małego wzrostu staruszka, poczerniała od słońca, z siwemi włosami przykrywającemi jej zaledwie wierzch głowy. Rodem była z północnych Włoch, to też jej suknia i chustka miały pozór bardziej staranny niż u innych kobiet w Marca. Sługiwała zawsze u proboszczy; skoro zakrystyan był chory lub nieobecny, ona wiedziała bardzo dobrze gdzie znaleźć każdy potrzebny przedmiot czy to książkę, dzwonek lub gromnicę; byłaby nawet do mszy posłużyła, gdyby jej płeć nie stanęła na przeszkodzie.

Języczek miała dosyć ostry i w głębi duszy dumną była, iż gdy się zdarzy sposobność może prawdę wypowiedzieć nawet namiestnikowi bozkiemu.

Między tym ubogim ludem proboszcz był niezmiernie ważną osobą, a jednak drżałby jak dziecię schwycone na gorącym uczynku, gdyby Candida spostrzegła, iż oddał najlepszą koszulę żebrakowi lub wszedł z zabłoconemi butami na ceglaną dopiero co przez nią wyczyszczoną podłogę.

Powtarzała się tu bardzo pospolita historya niejednego znakomitego człowieka. Mógł on wiązać lub rozwiązywać, błogosławić lub przeklinać, rozgrzeszać lub potępiać grzeszników, lecz pomimo tego wszystkiego nie przestał być w oczach swej starej sługi dużem dzieckiem, któremu zawsze dawała uczuć swoją przewagę pomimo, że otaczała go pewnym rodzajem macierzyńskiego niemal uwielbienia, które to pieści i łaje zarazem. Uważała swojego pana za bardzo prostodusznego człowieka lecz zarazem za anioła, jak sobie mówiła w duszy.

Don Gesualdo nie był ani przebiegłym ani uczonym, umiał tylko ile koniecznie trzeba było umieć, aby zdać egzamina i zostać księdzem. Jak widzimy zasób jego wiedzy nie był zbyt obszerny, lecz aż nadto wystarczający dla mieszkańców wioski Marca gdzie też i nie wymagano nic więcej.

Wypełniał on jak najskrupulatniej swoje obowiązki nie zastanawiając się nigdy nad przykrościami swego powołania. *Wierzę w Boga* wydawało mu się jasne jak słońce a wiara jego była tak uległą i pokorną, jak łagodnym bywa pies pasterza.

Lubujący się w samotności i skłonny do poetycznych uniesień don Gesualdo żył oderwany od świata jak owe owieczki boże, otaczające niegdyś wielkiego świętego z Assyżu. Nie miał innego celu w życiu nad sumienne wypełnienie swoich obowiązków religijnych.

Matka jego była z pochodzenia Niemką, lecz służąc w jakiejś oberży w Pizie, wyszła zamąż za Włocha i syn też jakkolwiek Włoch odziedziczył po matce skłonność do marzycielstwa, właściwą wszystkim ludom północy.

Nic dziwnego też, że pierwiastek duchowy miał w nim największą przewagę, a wysoko pojęte posłannictwo zachęcało go do wyrzeczenia się wszystkich ziemskich dążeń lub samolubnych myśli.

— On jest za dobry dla tego świata, mawiała stara gospodyni.

Życie młodego księdza upływało cicho i jednostajnie. W Marca nic się prawie nie zmieniało, chyba że ktoś opuścił wioskę, lecz rzadki to był wypadek. Klimat dość zdrowy w tych dolinach nie zmuszał mieszkańców do koczowniczego życia jak w Apeninach lub innych miejscowościach nawiedzanych przez febrę. W Marca nie groziła ludziom inna febra nad zbyteczne użycie wina w czasie jesiennego winobrania.

Wioska ta nie miała wspomnień historycznych i nie słynęła z piękności położenia. Była taką jak setki innych w tym kraju; otaczały ją winnice i pola okryte zbożem, w pośrodku wsi wznosił się mały, skromny kościołek; obok niego bielały ściany plebanii a dalej szeregiem ciągnęły się nędzne chatynki.

Nieopodal widać było willę w której nigdy nie dostrzegłeś ruchu i życia. Jednem słowem wioska położona w zacisznym zakątku, zdala od linii kolei żelaznej, nie wymieniona w żadnym przewodniku, miała jednak odrębną jakąś cechę piękności, na której nikt się nie poznawał z wyjątkiem tylko młodego księdza Gesualdo Brasailo.

Zdaje mi się, że zrozumienie piękności przyrody jest ze wszystkich uczuć ludzkich, uczuciem najszlachetniejszem, źródłem najczystszych rozkoszy, które za złoto kupić niepodobna, a które częstokroć budzi w nas szum drzew lub szmer wody.

Nie wyobrażajmy sobie, żeby tylko Włosi zdolni byli odczuwać piękności natury; wielu z nich woli gaz niż promienie słońca, niecierpi gór a przepada za miastami.

Cisza lasów nudzi ich niewymownie a wrzawa tłumów zachwyca. I tutaj, jak wszędzie mnóstwo spotykamy wyjątków, wiele jest prawdziwie poetycznych natur, choć nie można powiedzieć, że ich się dużo spotyka i don Gesualdo należał właśnie do nich, w Marca był on więc także wyjątkiem.

W lecie można go było widzieć codzień wieczorem błądzącego wśród pól z brewiarzem w ręku. Lecz rozmyślania jego przerywały co chwila to koniki polne, to szum liści lub szelest trzciny schylającej się pod powiewem wiatru, albo też małe srebrzyste rybki pluskające się na brzegu rzeczki.

Nie umiałby nawet powiedzieć dlaczego lubił wszystkie te rzeczy, może dlatego że przypominały mu Bocca d'Arno, lecz czuł że w takich chwilach serce jego przepełnia nieokreślone wzruszenie rozkoszne i przykre zarazem.

Po wieczerzy don Gesualdo udał się do kościoła do którego z plebanii prowadził mały korytarzyk. Kościołek był nader skromny a wązkie okna nie wiele doń przepuszczały światła: wielki ołtarz snać rzeźbiony ręką jakiegoś włoskiego mistrza, zachwyciłby niejednego, lecz don Gesualdo wcale znawcą nie był i gdyby nawet miał przed oczami arcydzieło Rafaela, nie poznałby się na niem z pewnością.

Kochał swój stary i skromny kościołek i niekiedy miewał w nim dziwne i namiętnie egzaltowane kazania, których jego parafianie zupełnie nie rozumieli a może nawet i on sam ich dobrze nie rozumiał. Głos miał łagodny i dźwięczny, pełen rzewności i uczucia i podczas gdy zdania jego mistyczne i niezrozumiałe rozbrzmiewały ponad głowami słuchaczy, zapał i harmonijność jego mowy wzruszała serca wszystkich.

— Ten człowiek musi być ulubieńcem świętych — mawiali.

Candida siedząc u stopni ołtarza z głową pochyloną i różańcem w ręku, mówiła sobie w duchu:

— Mój Boże, prawi jak z książki, a jednak gdyby mnie nie było na plebanii, onby nawet koszulę włożył do góry nogami.

Tego dnia nie było żadnego wieczornego nabożeństwa a jednak ksiądz pozostał długo w kościele, z szacunkiem i czułością dotykając każdego przedmiotu. W świątyni miły unosił się zapach, gdyż zazwyczaj drzwi były szeroko otwarte a zapach pierwiosnków, róż polnych, skoszonego siana lub tłoczonych winogron, mieszał się z zapachem kościelnych kadzideł.

Candida utrzymywała w kościele wzorowy porządek; z nieubłaganą zajadliwością wymiatała skorpiony i pająki, które już od kilku pokoleń gnieździły się bezkarnie w ławkach i popękanych kamieniach.

Od czasu jego przybycia do Marca nie zdarzył się jeszcze żaden nadzwyczajny wypadek. Było kilka ślubów, lecz bez porównania więcej urodzin i pogrzebów, zresztą wszystko szło zwykłym trybem.

Ludzie którzy przychodzili się spowiadać na Wielkanoc, przyznawali się do bardzo pospolitych grzechów: ukradli to lub owo, przy okazyi obmówili bliźniego, upili się lub pokłócili i nic więcej.

Don Gesualdo dawał im wtedy bilet zabezpieczający zdrowie duszy, upominał ich aby nie grzeszyli i kazał im odchodzić w pokoju. Lecz tak ksiądz jak i jego owieczki byli najmoralniej przekonani, że popadną na nowo w te same grzechy i że kubek w kubek taką samą spowiedź odbywać będą w roku przyszłym.

Wieśniacy z Marca mieli wysokie pojęcie o religii, to jest czcili ją jak fetysza, któremu skoro się odda przynależne hołdy, tenże wszystko ureguluje po śmierci.

Za nic w świecie naprzykład nie byliby opuścili nabożeństwa w niedzielę, a że drzemali w czasie mszy lub przebudziwszy się gryźli orzechy lub ukradkiem pociągali parę razy fajeczkę, to bynajmniej nie uważali za przestępstwo mogące osłabić zbawienny wpływ modlitwy.

Gdyby ich kto zapytał w co wierzyli i dlaczego, poskrobaliby się w głowę nie umiejąc na to znaleźć odpowiedzi. Umysł ich otaczały jakieś mgły z pośród których żadne pojęcie nie wyłaniało się jasno.

Najdokładniejsze wyobrażenie mieli o Madonnie. Widzieli w niej Matkę i Opiekunkę ludzi, która za gorliwe odmawianie pacierzy da im wszystko dobre w tem i przyszłem życiu! zupełnie jak ich przodkowie, którzy na tych samych pagórkach czcili wszechwładną Ceres.

Gesualdo sam, wbrew wszelkim doktrynom jakie wpajano weń w seminaryum, nie wiele więcej wiedział od nich. Powtarzał słowa ofiary św. nie zastanawiając się nad ich znaczeniem; wierząc jak najszczerzej, że poświęcenie i wyrzeczenie się wszystkich rozkoszy ziemskich, ściągnie nań błogosławieństwo niebios, starał się jak mógł najlepiej ocalić swoją własną duszę, jakoteż dusze powierzonych swej pieczy owieczek, lecz dalej nie sięgał myślą, po za tem myśl każda wydawała mu się grzechem.

Jednakże ponieważ miał wrodzony rozsądek i dość bystre pojęcie, martwił się nieraz w duchu widząc jak słaby wpływ nauki jego, wygłaszane z przejęciem, wywierały na parafian.

Dla niego, wiara była wszystkiem, dlaczegóż więc parafianie jego nie stosowali się do tej zasady? Dlaczego przez cały rok klęli, kłócili się, oszukiwali się wzajemnie i kłamstwem plamili usta. Zdawało mu się, że dlatego spowiadają się z swoich grzechów, aby później grzeszyć z jeszcze większą swobodą.

I z żalem przyznawał się przed samym sobą, że posłannictwo, które od lat sześciu spełniał w Marca, nic zgoła nie poprawiło mieszkańców wioski.

Rozmyślając nad tem wszystkiem (a myślał o tem dniem i nocą) usiadł na kamiennej ławce przed kościołem i otworzył brewiarz. Słońce zaczęło schylać się za pagórki a promienie jego przedzierając się przez cyprysy, barwiły ziemię złotemi blaski, które konały u stóp don Gesualda.

Słowik śpiewał wśród różanych krzewów, pomiędzy kamieniami prześlizgiwały się jaszczurki. Z rozpadliny muru wyrosła latorośl powoju a delikatne jej gałązki obsypane pachnącem kwieciem dosięgały niemal głowy księdza. Ciepło i blaski otaczały go zewsząd, jedynie tylko mały kościołek pogrążony był w cieniu.

Ksiądz otworzył brewiarz ale nie czytał z niego; przyglądał się lekkim na niebie obłoczkom, siniejącym w dali pagórkom i przejrzystej, świetlanej atmosferze, rozkoszując się przytem śpiewem słowika. Twarz jego przybrała wyraz zachwytu i rozmarzenia, który starej słudze wydawałby się głupowatym a który w istocie zdradzał duszę poetyczną lecz nie dość oświetloną i wykształconą, aby mogła zdawać sobie sprawę z wrażeń i rozbierać swoje uczucia.

Śpiew słowika w Czerwcu jest zupełnie odrębny od jego śpiewu w Kwietniu lub w Maju, myślał biedny ksiądz, któremu natura dała oczy do patrzenia i uszy do słuchania; modulacye są inne i akcent nawet nie taki. Na wiosnę zda się, że śpiewa hymn Salomona, a wpołowie lata, nie wiem doprawdy co on głosi? Czy żałuje wiosny, czy też poprostu uczy pisklęta jak mają śpiewać w następnym roku?

I znów zaczął słuchać najmilszego z ptasząt, którego śpiew zachwyca wszystkich. Słowik cierpliwie powtarzał swój śpiew, to wolniej, to znów prędzej; drugi głosik słabszy i łagodniejszy wtórował mu wiernie, powtarzając po nim tryle i rulady; to znów niespodzianie zatrzymywali się obydwaj jakby dla nabrania oddechu.

Widocznie wśród kwiecistych zarośli odbywała się lekcya śpiewu. I każdy kto tylko ma ochotę może przez cały Czerwiec słuchać tej nauki, której wykład odbywa się pod mirtowemi i granatowemi drzewami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Marca 1888 roku.

Mimo słot i zamieci śnieżnych, jakie w tym roku trapią dotychczas Paryż, słynne tutejsze modniarki, przygotowały już pierwsze kapelusiki wiosenne. Można je widzieć ale tylko za szczególną protekcyą, co nam się też udało. Nie wszystkie te modele upowszechnią się z wiosną; moda jedne przyjmie, drugie przeistoczy, w każdym razie coś zawsze z nich zostanie.

Uważaliśmy dwojakie modele kapotek, jedne z szerokiem rondem, w guście *Dyrektoryatu*, drugie maleńkie, stożkowate przylegające do twarzy, podniesione tylko nad czołem. Zaczynamy od pierwszych. Kapelusz czarny koronkowy, zwany *Talien*, ma rondo podszyte w drabinkę wstążką morową koloru *cerise*, podpięte z boku gwoździkiem w tymże samym kolorze, między rondem a główką ułożone koki z szerokiej wstążki morowej. Szarfy wązkie, wiążą się z boku na małą kokardkę bez końców. Drugi podobny kapelusz także czarny koronkowy, podbity marszczoną gazą blado różową, przybrany pod spodem pęczkiem drobnych różyczek, z wierzchu kokami z różowej morowej wstążki.

Z pomiędzy małych kapotek, podobała nam się bardzo czarna z lekkiej koronki, przewłóczonej złotą nitką; na płaskiej główce upięty maleńki fanszonik; nad czołem nagarnirowana koronka tworzy zgrabne gniazdeczko, ozdobione pęczkiem złotych kłosów, mieszanych z jagodami. Do wiązania na boku służą barbki przerabiane złotem, bardzo wązkie i krótkie.

Kłosy tak złote i srebrne, jak i w kolorze naturalnym, mają być powszechnie przyjęte na lato.

Wpadł nam w oczy śliczny kapelusik, zwany *Ceres*, z białego tiulu jedwabnego w groszek, kłosy koloru słomy, zwrócone w górę, idą coraz wyżej, pokrywając boki i główkę; na środku pomieszane z wiązką polnych kwiatków, tworzą piramidalną egretkę.

W okrągłych kapelusikach nadzwyczajna rozmaitość, u jednego rondko małe spuszczone na dół u innych podniesione z obu stron lub fantastycznie odwinięte z boku. Uważaliśmy jeden bardzo oryginalny: główka u niego czarna morowa bufowana, rondko z czarnego przymarszczonego tiulu. Zdobi go bukiet z anemonów w rozmaitych kolorach.

W początkach zimy fryzyerowie paryzcy odbyli doroczną naradę, wraz z wystawą nowych pomysłów. Ponieważ trudno płynąć przeciwko prądom, a moda wymaga koniecznie formy piramidalnej, tak w kapeluszach, w czepeczkach jak i w układzie włosów, nowe zatem pomysły polegają tylko na małych zmianach, lecz nie naruszają przyjętego porządku. Do tych zmian, należą loki średniej długości, puszczone od tyłu głowy, co u osób z długą szyją ładnie wygląda, szczególniej do sukien wyciętych.

Inna nowość powszechnie przyjęta zależy na tem, że włosów nie skręcają już w ósemkę, ale zczesane wysoko układają w jeden pukiel zwrócony do czoła, lub też w kilka skupionych pukli. Rodzaj ten czesania nazwano *en casque*, gdyż rzeczywiście przypomina kształt starożytnego hełmu. Te pukle z przodu głowy przypinają fantastycznie, grzebieniem z ażurową ławką albo kokardą ze wstążki czarnej lub kolorowej. Do większego ubrania wpinają tu puff z tiulu jedwabnego ozdobiony egretką ze złotych kłosów, albo wianeczkiem z drobniuchnych różyczek.

Włosy podczesane w tyle głowy, przepinają w podłuż, grzebieniem z wązką ławką, co je zgrabnie odsadza.

Zwróciły uwagę naszą, ładne ranne czepeczki, bardzo łatwe do zrobienia w domu. Maleńkie kółko tiulowe obszywa się wkoło marszczoną koronką, szeroką na pięć cali; od jednego boku do drugiego spada na tył głowy, z pod spodu szerszy o parę cali wolant. Kokarda ze wstążki, złożona z kilku stojących pukielków, tworzy całą ozdobę.

Podobny ubiorek z czarnej lekkiej koronki, przybrany kokardą aksamitną z dżetem albo złotemi kłosami, może służyć do teatru i na mały wieczorek, dla osób nie pierwszej młodości.

Pomimo, że wiele pań uprzykrzyło sobie kołnierze wysokie do sukien i usiłuje zastąpić je wykładanemi, stojące jednak dotąd się utrzymują. Moda ta odpowiada podniesionem włosom i nie prędzej ustąpi, aż w czesaniu stanowcza nastąpi zmiana. Białe nawet plisowane fryzki, zwane *Pierrot*, przytwierdzone są do szerokiej listewki i od niej spuszczają się na kołnierz, zasłaniając zupełnie szyję. Jedne zapinają po prostu broszką, do innych dodają długi plisowany żabot, odwracany na obie strony. Takie fryzki *Pierrot* noszą też z plisowanej krepy (crêpe lisse), w rozmaitych kolorach, blado różowym, słomkowym, nawet ponsowym; najładniejsze jednak białe z lekkiej koronki lub z tiulu w drobne muszki, te najlepiej przypadają do twarzy.

Moda żakietek, o których wspominaliśmy już, coraz się bardziej upowszechnia. Robią je z lekkiego sukienka, z indyjskiego kaszmiru lub innej wełnianej tkaniny, a nawet z jedwabnej sycylianki, oto modele tych żakietek.

Pierwsza z cienkiego sukienka w kolorze jasno szafirowym (bleu du roi), wcięta zupełnie do figury. Przody rozchodzą się w górze i poniżej stanu, środek tylko spięty na pięć guzików. Odwinięte na piersiach klapki, obszyte są, równie jak całe żakietki szlaczkiem bulgarskim, szeroko na dwa cale. Szlaczek ten przerabiany różnokolorowym jedwabiem i złotem, stanowi pierwszą nowość. Pod spód idzie szmizetka kaszmirowa w odcieniu śmietankowym, w górze bufiasta, ujęta u szyi w pasek bulgarski, poniżej stanu, ułożona w zakładki, spięta na rząd złotych guziczków, objęta złotą plecionką.

Druga żakietka z białej serży, ma przody całkiem otwarte, obłożone szerokiem haftem bulgarskim, u szyi stojący kołnierz z takiegoż paska. W stanie oba przody łączą się klapką haftowaną. Rękawy krótkie do łokcia, rozcięte wśrodku, przybrane odpowiednio. Na spód idzie szmizetka z fularu *surah*, mocno bufowana, długie od niej rękawy także bufiaste, sięgają do ręki; zakończone mankietem bulgarskim.

Trzecia żakietka z jedwabnej sycylianki w kolorze ciemno heliotropowym, ma przody szeroko otwarte połączone w stanie klapką bulgarską. Takiż haft idzie dokoła i zdobi krótkie po łokieć rękawy. Szmizetka do tego biała muszlinowa z długiemi rękawami, ładnie ją przystraja szeroki rabat z plisowanego muszlinu ujęty u szyi w pasek bulgarski.

Te żakietki służą szczególniej do domowego ubrania, w dni przyjęcia gości na popołudniową herbatę, zwaną z angielska *five o'clock* (o piątej godzinie). Zwyczaj przejęty również od angielek wymaga, aby panienki same krzątały się około tej herbaty, same ją przyrządzały i roznosiły. Mówiliśmy już o fartuszkach na ten cel przeznaczonych, dodajmy jeszcze jeden model. Wpadł nam w oko bardzo ładny, półbatystowy, na tle białem zasiany w drukowane pączki róży, ogarnirowany hafcikiem różowym. Z prawego boku zgrabna kieszonka, przytwierdzona różową kokardą; wązkie szarfy wiążą się w tyle. Od szyi spada poniżej stanu marszczony plastron półbatystowy, w górze ujęty w stojący kołnierzyk ozdobiony z boku kokardą.

Hafty bulgarskie o których wspomnieliśmy powyżej, używane będą powszechnie do ubrania wiosennych kostyumów, takimi paskami naszywają staniki, mankiety i plastrony.

S. D.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Przysłowie nasze powiada, że święty Maciej zimę traci albo ją bogaci: obecnie nie skręcił jej karku zupełnie, ale go nieźle nadwieruszył. Od dnia poświęconego czci tego świętego, mrozy zaczęły się zmniejszać i zapewne według Dziennika dla wszystkich, znowu będzie:

Rano odwilż, a wieczorem
Śnieg płatami sobie pada,
To znów rano śnieg znów sypie,
Wieczór ciecze wód kaskada...

Rano ciepło — a wieczorem
Mróz znów sypie — proszę siadać!
Dziś znów mroźno — a co jutro
Trudno wiedzieć — trudno zbadać...

Coś popsuło się więc w górze:
To chmur kłęby — to znów pusto,
Jednem słowem, że w tym roku
Mamy pono zimę... szóstą...

Łza z powieki srebrna kapie
Gdy o blizkiej myślisz wiośnie!
I gdy spojrzysz... jak wciąż więcej
Kup lodowo błotnych rośnie..

Kiedy patrzysz — to cię taka
Zaraz straszna myśl przenika:
Że tych błotnych kup nie sprzątną,
Chyba koło... Października!

Dnia 4 (16) Lutego r. b. w Petersburgu w sali koncertowej pałacu Zimowego, odbył się bal dworski, na który rozesłano przeszło 600 zaproszeń. W liczbie zaproszonych znajdowali się wszyscy urzędnicy pierwszej klasy Najwyższego Dworu, wielu klasy drugiej, osoby należące do świty, członkowie rady państwa, oraz dygnitarze cywilni i wojskowi z żonami. Z pośród ciała dyplomatycznego byli obecni tylko ambasadorowie i posłowie z żonami. W galeryi pompejańskiej urządzony był bufet, gdzie podawano chłodniki, herbatę, wino szampańskie, owoce i cukry. Bal rozpoczął się o godzinie 9 minut 40, jednocześnie z wejściem Najjaśniejszych Państwa. W czasie pierwszego walca ambasadorowie i posłowie prezentowali Najjaśniejszym Państwu znakomitszych cudzoziemców znajdujących się w Petersburgu. Jednego z kontredansów Najjaśniejsza Pani tańczyła z poddanym angielskim lordem Fivem. O godzinie trzy kwadranse na 1 podano kolacyę w sali Mikołajewskiej i podjeździe poselskim. Małe stoliki na jedenaście osób były otoczone grupami roślin zwrotnikowych i palm. Na wprost portretu Cesarza Mikołaja Pawłowicza nakryty był stół dla Najjaśniejszych Państwa, przy którym zajęła miejsce Najjaśniejsza Pani. Po obu stronach Najjaśniejszej Pani zajęli miejsca najstarsi wiekiem członkowie ciała dyplomatycznego: z prawej ambasador niemiecki generał Schweinitz, z lewej ambasador turecki Szakir basza. Najjaśniejszy Pan siedział przy drugim stole. Po kolacyi tańce wznowiono. Około godziny 3 po północy Najjaśniejsi Państwo udali się do pokojów wewnętrznych i goście zaczęli się rozjeżdżać.

W dniu 10 z. m. przypadła 120 rocznica śmierci ks. Piotra Gabryela Baudouina, założyciela szpitala Dzieciątka Jezus. Ta data przypomniała Warszawianom, że znakomity ten cudzoziemiec, mąż boży, dobroczyńca Warszawy, dotychczas nie ma żadnej wśród nas pamiątki, nawet prostego napisu w kościele św Krzyża, w którego grobach klasztornych prochy jego spoczywają. W sam dzień popielcowy Kuryer Codzienny rzucił myśl uczczenia zasług tego męża, przez wzniesienie mu pomnika. Kuryer proponuje postawienie pomnika na placu Wareckim, przed gmachem szpitala Dzieciątka Jezus. Ponieważ jednak na urzeczywistnienie tej myśli lat kilka czekać trzebaby było, niezależnie od publicznego monumentu ma być sprawiona tablica do wmurowania wjedną ze ścian kościoła św. Krzyża. Tablica ta ma być odsłoniona w r. p. w dniu 5 Kwietnia, jako w 200 rocznicę urodzin świątobliwego kapłana.

Myśl to tak piękna, a tak wprost płynąca z wdzięcznych serc Warszawian, że sądzimy, iż poparcia wcale nie potrzebuje. Dziwnem nam się wydaje tylko to zapomnienie dotychczasowe, bo przecież serce ma najlepszą pono pamięć. Rumieniec wstydu niechże ustąpi z lic naszych jak najśpieszniej, wynagrodźmy pamięci Baudouina winy dzielących nas od niego pokoleń.

Od pana M., ajenta spółki dla wywozu mięsa za granicę, otrzymaliśmy z Paryża list, datowany dnia 21 z. m., z którego cytujemy następujący wyjątek:

Wędliny polskie w Paryżu zyskują coraz liczniejszych odbiorców.

I Francuzi, dotychczas spoglądający z niedowierzaniem na produkta nasze, poczynają również chwalić naszą szynkę, a najbardziej smakują w polędwicy.

Może tu mieć także zbyt smalec i słonina wędzona.

Jeżeli tak samo nadal, jak do tej pory, będzie pomyślnie się rozwijał handel w tutejszym składzie wędlin, to w niedalekiej przyszłości produkta nasze zapanują nietylko na rynku paryzkim, ale w całej Francyi, jako nierównie lepsze i tańsze od angielskich i amerykańskich.

Dnia 10 Marca odejdą z Warszawy do Paryża większe zapasy wędlin.

Pan M. uprasza obywateli ziemskich za pośrednictwem naszem, o nadsyłanie do Warszawy wędlin pod adresem p. Gostkowskiego ulica Zielna N-r 35, albo też do składu nasion p. Wasilewskiego przy ulicy Miodowej.

Do pewnego tutejszego zakładu gimnastycznego uczęszcza pięć młodych pań, wprawiających się w fechtunek na rapiry.

Zdaniem nauczyciela, wszystkie panie władają bronią zręcznie i z odpowiednią siłą.

Wyroby szewckie tutejsze, oddawna już wyrobiły sobie należne uznanie, nie tylko u nas, ale i na rynkach wschodnich.

Był czas, iż całemi masami wyroby te od nas wywożono, a że teraz stosunki zmieniły się w wielu razach na gorsze, wina to tylko niektórych niesumiennych spekulentów, nie zaś ogólnej dobroci wyrobu.

Wobec tego dziwnym się wydaje fakt, zacytowany przez *Gazetę rzemieślniczą*, iż dotychczas jeszcze obuwie zagraniczne przychodzi do nas i to w znacznych ilościach.

W tych dniach np. nadszedł do Warszawy transport obuwia, za który samego cła musiano zapłacić blisko tysiąc rubli!

Sprowadzający przytaczają na swoje usprawiedliwienie, iż czeladnicy tutejsi niechętnie się biorą do wyrobu obuwia ozdobniejszego.

Fakt ten jednak, według przytoczonego przez nas organu, nie może być brany w rachubę, ponieważ czeladnicy są dostatecznie uzdolnieni i tylko zbyt niska cena, ofiarowana za robotę, wstrzymuje od wykonania takowej.

A przecież tak łatwo grosz wywieziony za granicę, byłoby zostawić w kraju!

Ze Lwowa donoszą nam co następuje: Zawiązało się tu „towarzystwo oszczędności” mężczyzn na wzór istniejącego już podobnego towarzystwa kobiecego. Towarzystwo wspomniane ma na celu ekonomię filantropijną, za pomocą zbierania małych kwot pieniężnych. Zamierza ono wspierać podupadłych właścicieli ziemskich, mniejszych posiadłości włościańskich i t. p. Członkiem towarzystwa może być każdy, kto się zobowiąże płacić miesięcznie do kasy towarzystwa drobną kwotę 10 centów, oprócz tego winien taki „czynny” członek pozyskać dla towarzystwa dziesięciu zwyczajnych członków, płacących również po 10 centów miesięcznie.

Liczba studentek na wszechnicach belgijskich znacznie się powiększa. Sam uniwersytet brukselski liczy obecnie przeszło 20 słuchaczek. Medycyna i prawo mało ma zwolenniczek. Wśród panien, żądnych wiedzy, więcej ich poświęca się naukom przyrodniczym, najznaczniejsza zaś liczba odbywa studya farmaceutyczne. Dziennik *La Meuse*, z którego wiadomości te pochodzą, dodaje następującą uwagę: Kursa farmaceutyczne, oprócz tego że są najkrótsze, a tem samem najtańsze, przedstawiają dla panien te jeszcze widoki, że dyplomowana aptekarka łatwo znajduje męża, zwłaszcza w sferze lekarzy prowincyonalnych. W stadle takiem mąż pisze recepty, żona przygotowuje lekarstwa i zysk wypada podwójny.

Ubezpieczenie przeciw małżeństwu jest najnowszą kombinacyą na polu asekuracyjnem, jak donoszą z Paryża. Młode dziewczęta zabezpieczają się od 13 roku życia i płacą małą premię roczną, którą tracą jeżeli „mimo to” wychodzą zamąż, a która w zamian za to, starym pannom, począwszy od lat 40 przynosi przyzwoitą rentę dożywotnią.

W tych dniach odbyła się w Paryżu w „wielkich magazynach Luwru” zwykła wystawa bielizny, a jej siła atrakcyjna musiała być bardzo znaczna, skoro w ciągu dnia odstawiono ztamtąd do najbliższego cyrkułu policyjnego 30 złodziejek i jednego złodzieja. Między złodziejkami znajdowały się: nauczycielka, blizka krewna sędziego, żona adwokata, żona aktora i kilka pań żyjących z własnych funduszów.

W mieszkaniach amatorek cudzego mienia zarządzono rewizyę i znaleziono za 30,000 fr. różnych towarów. Złodziej zaś, którego schwytano, uwagę swoją zwrócił na łepki od cygar; podczas rewizyi znaleziono ich też u niego pokaźną kolekcyę. Komicznem jest to, że niektóre ze złodziejek okradzione zostały z portmonetek z pieniędzmi przez *pick-pocket'ów*, których Anglia całe gromady wy-

syła przy podobnych okazyach. Paryzkie wielkie magazyny, jak Luwru i *Bon Marché*, zapisują corocznie na rachunek strat spowodowanych kradzieżami 300,000 do 500,000 franków, a cyfra ta jest jeszcze podobno za nizką.

Pan X. dowiedziawszy się, że rzucono myśl założenia w Warszawie towarzystwa opieki nad rybami, zawołał:

— Ah! jakże żałuję, że nie jestem szczupakiem!

* * *

W Anglii w Birmingham, jakiś domorosły astrolog przepowiedział, iż w dniu 13 z. m. o godzinie 2 i pół rano, nastąpi spotkanie się dwóch gwiazd, któremu towarzyszyć będzie trzęsienie ziemi, wielka burza, wypadki nagłej śmierci, a nawet krwawe bójki.

Mieszkańcy Birminghamu zaliczający się przecież do oświeconych, uwierzyli tym przepowiedniom i spędzili noc z 12 na 13 w wielkiej trwodze. Na wszystkich liniach kolejowych ruch zmniejszył się znacznie, albowiem każdy wolał umierać w domu, niż w podróży. Towarzystwo tramwajowe na nieszczęście właśnie w ciągu tego złowrogiego dnia wprowadziło nową świstawkę sygnałową, a gdy rozległo się pierwszy raz niezwykłe gwizdanie, wszyscy rzucili się na ulicę w mniemaniu, że nadeszła straszna chwila. Gęsta mgła zawisła nad miastem i powiększyła jeszcze zamieszanie; mnóstwo osób, zwłaszcza kobiet, udało się na ratusz szukając tam pomocy przeciw końcowi świata.

Straszna godzina nadeszła i minęła wreszcie zupełnie spokojnie, dobrze poinformowani wszakże twierdzą, że astrolog pomylił się tylko, co do daty i że koniec świata jest blizkim.

* * *

W Brukseli założono restauracyę, przedstawiającą najwierniej galery. Wstęp za biletami. Wchodzący dzwoni; jeden odźwierny otwiera ciężką bramę a drugi odbiera bilet i woła: „Wstąp, skazańcze!" Na ścianach obrazy przedstawiają sceny z życia galerników; przez małe zakratowane otwory widzi się cele galer tulońskich. Garsoni ubrani są jako więźniowie i nie brak im łańcuszków i kul przy nogach; kermajster woła do nich od czasu do czasu: „Pracujcie, skazańcy!" Opuszczając lokal, otrzymuje się świadectwo dobrego prowadzenia się w zakładzie. Wstrętny ten pomysł ściąga tłumy publiczności. Nie jest on zresztą nowy, gdyż o ile sobie przypominamy, model już od dwóch lat istnieje w Paryżu.

* * *

Geometra. Jakiś młodzieniec objawia na balu zachwyt dla swej tancerki:

— Pani ma tak piękne, duże oczy!... Co za małe nóżki... A jakie długie włosy!... Te śliczne malutkie ząbki!

Niedyskretne vis a vis z kontredansa pyta go półgłosem podczas *tour de main*.

— Czy pan jesteś geometrą i robisz pomiary?

* * *

Matematyka w miłości. Narzeczona: — Ah! jestem tak szczęśliwa, że chciałabym uścisnąć świat cały!

Narzeczony (profesor). — W takim razie ramiona twoje musiałyby mieć 20,035 kilometrów długości.

* * *

Dwóch przyjaciół spotykają się po raz pierwszy po dziesięciu latach niewidzenia się.

— Ależ, mój bracie—odzywa się jeden z nich—jakże mi ładnie wyglądasz! Ząb czasu choć trawi żelazo, ciebie widocznie ani dotknął nawet.

— Być może, ale za to grzebień czasu dobrze dał mi się we znaki — odpowiada drugi i zdejmując kapelusz pokazuje łysinę potężnych rozmiarów.

RÓŻNE MYŚLI.

Dobro to my robimy, złe — przypadek, my mamy zawsze słuszność — los nie ma słuszności.

La Fontaine.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Aleksandrze Gorskiej. W redakcyi Biesiady oświadczono, że, kop. 50 przesłane na portret J. I. Kraszewskiego nie odebrano. Mimo tego dwa oleodruki jako premium *Tygodnika i Przyjaciela Dzieci*, przesłano podług adresu, o odesłanie zaś przynależnych jeszcze kop. 50 prosimy.

Pani T. Ch. w Razaniu. Rycinę kolorową co kwartał jedną do Tygodnika dodajemy bo skutkiem dużego cła nowopostanowionego, jakie dawniej nie było opłacane, dostarczanie większej ilości rycin kolorowych jest niepodobne. W każdym razie ogólna liczba dodatków rocznie dawanych, jest w Tygodniku większą jak w jakiemkolwiek innem piśmie a nawet i podobnem francuzkim lub niemieckiem. Potrzebne kompleta wysłano. Co do wierszyków te zalecają się poczciwem uczuciem ale brak im formy właściwej.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Февраля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.